NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal. z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 60 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 84 halerzy, za wiersz jednoszpaltowy nonparelowy 1·20 kor.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XV. Kraków, 28 grudnia 1918. Nr. 51.

Armia polska we Francyi.



Defilada przed komendantem gen. Hallerem w Nancy. Za gen. Hallerem stoi gen. Archinard (X) gen. Fronoh i gen. Gourand.

OD WYDAWNICTWA.

Numerem niniejszym „Nowości Illustrowanych“ kończymy piętnasty rok swego wydawnictwa – rok najdonioślejszy w dziejach Polski. Po czterech latach krwawej pożogi wojennej, która żałobą i zniszczeniem okryła ziemię polską, po po okresie rządów prusko-austryackich „oswobodzicieli“ przyszła wreszcie chwila prawdziwej wolności. W roku bieżącym naród polski zerwał ostatecznie kajdany niewoli, pozbył się wreszcie swych teutońskich opiekunów, co pod pięknemi hasłami wolności nieśli nam ucisk i gwałty. Stajemy u progu nowego życia, wobec nowych zadań w wolnem, niepodległem państwie polskiem.

Te wielkie chwile wkładają na nas równie wielkie obowiązki. Zdajemy sobie z tego sprawę i nie wątpimy, że gdy wreszcie staliśmy się gospodarzami we własnym kraju, potrafimy przezwyciężyć te trudności, z którymi **daremnie walczyliśmy za rządów austryackich.** Bo nie każdy wie, jakie przeszkody musiały pokonywać „Nowości Illustrowane“, jako

jedyna na ziemiach polskich illustracya chwili bieżącej.

Już samo zebranie materyału fotograficznego, mające na celu **illustrowane zobrazowanie dziejowych wydarzeń w Polsce** było niezmiernie trudnem zadaniem wobec **kordonów wojennych i granic okupacyjnych. Szykany cenzuralne i komunikacyjne** ciągle stawały w poprzek naszym zamiarom. Musieliśmy starać się nie tylko o korespondentów, ale i o kuryerów, którzyby nam fotografie z okupowanych części Polski przywozili.

Biorąc pod uwagę te trudności, możemy z dumą spojrzeć na miniony okres naszej działalności w ciągu ubiegłych lat wojny. Cztery ostatnie roczniki „Nowości Illustrowanych“ to

wierne odbicie kataklizmu dziejowego i wielkich chwil, jakie przeżywał cały naród polski.

W pierwszych latach wojny fotografie „Nowości Illustrowanych“ dały wstrząsający

obraz zniszczenia Polski.

Należyte i wszechstronne odbicie znalazł również zbrojny czyn polski w licznych fotografiach, które tworzą

illustrowaną historyę Legionów i ich bohaterskich czynów na polu walki.

Słowem, „Nowości Illustrowane“ starały się w miarę sił i środków

ująć w illustracyi wszystkie momenty dziejowego przewrotu w Polsce.

Że w wykonaniu tego zadania nie zawsze mogliśmy stanąć na wysokości naszych zamiarów i chęci, to **wina ciężkich warunków, w jakich postawiła nas wojna.** Zdajemy sobie sprawę, że zwłaszcza **wykonanie techniczne** pozostawiało wiele do życzenia. **Rabunkowa gospodarka władz austryackich** w naszym kraju i **wrogie stanowisko rządu wiedeńskiego** wobec prasy polskiej — utrudniały prowadzenie wydawnictwa, które wciąż musiało walczyć **z brakiem pracowników i materyałów technicznych.**

I dziś jeszcze odczuwamy pod tym względem skutki minionej gospodarki austryackiej. Nie wątpimy jednak, że wraz z uporządkowaniem stosunków w Polsce, znikną dotychczasowe braki, a „Nowości Illustrowane“ i **pod względem technicznym będą mogły stanąć na właściwym poziomie** w wykonaniu wielkich zadań, jakie nas oczekują w najbliższej przyszłości.

Dla narodu polskiego wybiła teraz najdonioślejsza chwila. Polska, wyswobodzona z jarzma państw centralnych, staje się naprawdę niepodległą. Zaczyna się wielka chwila **budowy państwa polskiego.** Wolni dziś od narzuconych nam przez wrogie rządy więzów, dołożymy wszelkich starań aby „Nowości Illustrowane“ były możliwie **najwierniejszem odbiciem tej wielkiej chwili,** aby stały się

illustrowaną kroniką zmartwychwstającej Polski.

To jest ideał, który będzie nam przyświecał w nowym okresie naszej pracy. Zdajemy sobie sprawę z ogromu zadania, lecz ufni **w poparcie najszerszych kół naszego społeczeństwa,** poparcie, które pozwoliło nam **wytrwać na posterunku w najcięższych chwilach wojny,** przystępujemy z tem większym zapałem do pracy – **w wolnej, zjednoczonej Polsce.**

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończymy IV-ty kwartał XV-go roku naszego wydawnictwa, wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy też o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto przedpłaty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	. . . . .	50 kor.	
Półrocznie	. . . . .	25 „	— hal.
Kwartalnie	. . . . .	12 „	50 „

Armia polska we Francyi.

Z chwilą wybuchu wojny światowej liczna kolonia polska w Paryżu postanowiła zorganizować legię polską przy armii francuskiej. Legia ta powstała z pośród Polaków obcych poddanych i wcielona do armii walczyła w licznych bitew szeregu we Francyi. Legia była częścią wojska Rzeczypospolitej francuskiej. Oznaki zewnętrzne i sztandary powiewały nad nią także francuskie, zależna była w zupełności od francuskiej komendy wojsk.

Dwa lata temu zmieniły się przecież stosunki. Powstanie w Paryżu Komitetu narodowego polskiego postawiło sprawę polską wobec państw koalicyi w no-



Armia polska we Francyi! Nadzwyczajne wydanie „Le Matin“ poświęcone wojsku polskiemu.

wej formie. Legia polska miała być zasilona liczebnie Polakami, obywatelami Francyi. Dzięki działalności Komitetu paryskiego i akcyi jego przedstawiciela Ignacego Paderewskiego w Ameryce rząd Stanów Zjednoczonych zgodził się oficyalnie na zaciąg ochotników do kadr polskich we Francyi z pośród mieszkających w Ameryce Polaków, nieamerykańskich poddanych. Wychodźtwo nasze za Atlantykiem, zorganizowane w potężne zrzeszenia, pospieszyło za apelem mistrza Paderewskiego i w ciągu niespełna dwóch lat złożyło w drodze składek 140,000 000 dolarów do rozporządzenia Komitetu narodowego polskiego w Paryżu. Francya, a z nią i inne państwa koalicyi uznały naród polski za sprzymierzony w walce z germanizmem, a Komitet narodowy przystąpił do organizowania polskiej siły zbrojnej, opartej na stosunku przyjaźni do państw koalicyi, podległej zaś wyłącznie władzy politycznej Komitetu.

Pierwszym instruktorem i wodzem młodej armii polskiej był generał francuski Archinard, wsławiony kampanią w Alzacyi, gdzie walczył w grupie generała Pau. Kawaler legii honorowej francuskiej, zdo-

bywca Milnzy w r. 1914, gen. Archinard jako wódz armii polskiej nosił tytuł szefa wojskowej misyi polskiej i komendanta formacyi wszystkich wojsk polskich. Szefem jego sztabu był pułkownik Vachoux, słynny oficer i organizator kolonialnych wojsk francuskich w Tonkinie i Anamie, jako attachè wojskowy przez długie lata przebywający w Chinach, Mandżuryi, Syberyi i Rosyi. W charakterze instruktorów przydzieleni zostali do sztabu wojsk polskich wybitni generałowie francuscy, członek najwyższej Rady wojennej generał Gallieni, generał Ceptepont i generał Vidalon. Ci dwaj ostatni są dziś komendantami dwóch polskich dywizyi.

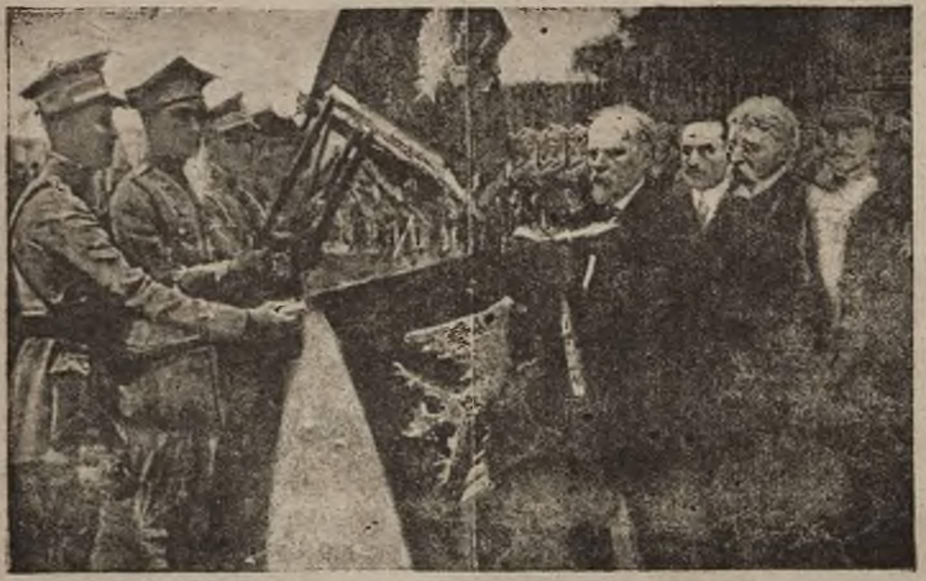
Po wybuchu rewolucyi bolszewickiej w Rosyi armia polska, złożona z Polaków z Francyi, Anglii i Ameryki, zasilona znowu została licznym napływem wojskowych polskich z Rosyi, którzy drogą na Władywostok, a także na Murmań szczęśliwie docierali do Francyi. W ich liczbie przybyło na ziemię francuską wielu oficerów różnych stopni, nie wyłączając najwyższych. Wszyscy oni wstąpili w szeregi organizowanej armii, nierzadko zrzekając się wysokich szarż, piastowanych poprzednio.

Tak sformowana armia polska, podległa zwierzchnictwu politycznemu Komitetu narodowego polskiego (także oficerowie francuscy i nominacye ich zależne są obecnie od Komitetu), mieści dziś w sobie Polaków ze wszystkich trzech byłych zaborów i wychodźtwa. Gros jej liczebne stanowią przecież Polacy z Ameryki i byli sokoli Wielkopolscy. W sierpniu b. r. pierwsza dywizya polska stanęła na froncie nad Marną, gdzie rozgrywał się gigantyczny bój dwu światów. Kiedyś dopiero dowiemy się bliższych szczegółów o bojach tej dywizyi i sławnem przejściu wezbranych wód Marny przez polskie zastępy. Do historyi Legii polskiej z r. 1914 przybyły nowe wawrzyny polskiej broni, tym razem już jako czyn samodzielnej armii narodowej.

Niedługo potem, bo w miesiącu wrześniu b. r. nad armią polską, liczącą już dwie dywizye frontowe i trzy dywizye w pozafrontowych formacyach, objął komendę naczelną bohater z pod Kaniowa, b. wódz drugiej brygady karpackiej, gen. Haller Mazowiecki. Losy generała Hallera są znane. Po morderczej z kilkakrotnie przeważającem wojskiem pruskiem w jarze Jamerychy pod Kaniowem, przeszedł Dniepr i w dniu 10 lipca b. r., w rocznicę bitwy pod Grunwaldem, wydał w Moskwie „Rozkaz mobilizacyjny“. Wskazując na sztandary pierwszej polskiej dywizyi we Francyi, sztandary ofiarowane wojskom polskim przez miasto Paryż, Nancy Belfort i Verdun wezwał pod broń wszystkich Polaków do walki o wolność po stronie sprzymierzonej koalicyi świata. Wezwany do Paryża, powierzył dowództwo nad wojskiem polskiem w Rosyi (na Murmaniu, na Syberyi, nad Donem i Kubanią) swoim podkomendnym generałom i pułkownikom (gen. Zeligowski, gen. Cichowin, pułk. Zymirski, pułk. Bardrowski) i z garstką oficerów i żołnierzy, tropiony bez skutku przez bolszewików, opuścił Rosyę.

Komitet paryski mianował go swoim członkiem i powierzył mu dnia 7 września b. r. naczelne dowództwo armii polskiej we Francyi i w Rosyi.

Z końcem września b. r. wojska polskie stanęły w Lotaryngii. W głównej kwaterze wojsk polskich, w Nancy, u stóp pomnika króla Polski i księcia Lotaryngii, Stanisława Leszczyńskiego, odbyło się uroczyste przywitanie naczelnego wodza polskiego. W niedzielę dnia 6 października witali gen. Hallera, przybyłego pociągiem urzędowym, na dworcu w Nancy prefekt departamentu Meurthe et-Moselle, Mirman, oraz burmistrz miasta Nancy, Simon. Prócz gen. Hallera przybył gen. Archinard, członkowie Komitetu narodowego polskiego, z urzędującym prezesem Zamoyskim i przedstawiciele armii państw koalicyjnych. Wśród okrzyków zebranych mieszkańców Nancy, „Niech żyje Polska!“ długi sznur automobilów ruszył na wielkie błonia lotaryńskie, gdzie

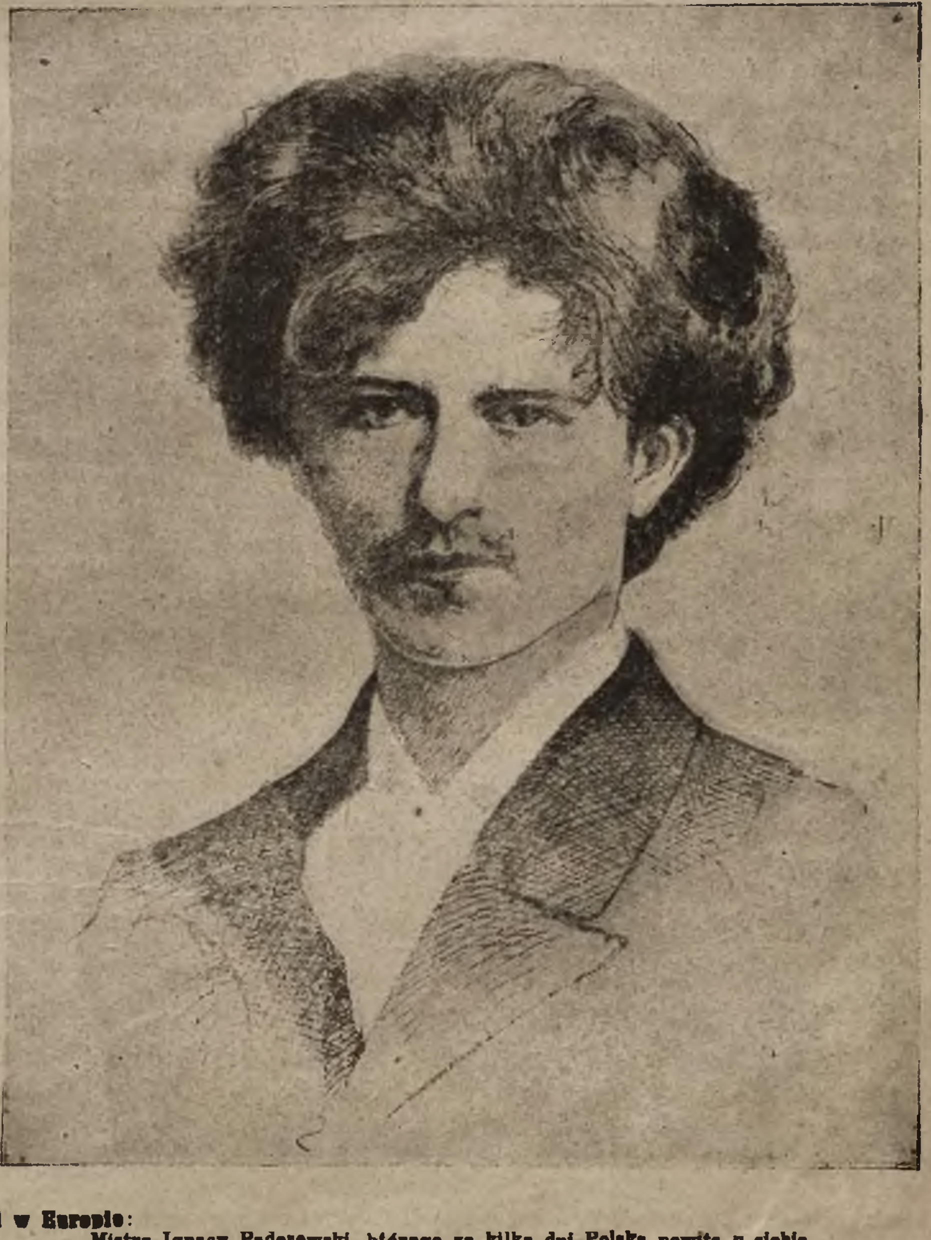


Armia polska we Francyi Prezydent Poincare w towarzystwie ministra Pichona, prezydenta K. N. Dmowskiego, gen. Archinarda i gen. Gouraud przypina szarfę honorową Rzeczypospolitej francuskiej do sztandaru pierwszej legii polskiej w armii francuskiej, powstałej w rokn 1914.



Rozłam socyalizmu w Niemczech: Dawny hr. Metternich, obecnie towarzysz Metternich szef dywizyi marynarki z wyboru





Wilson i Paderewski w Europie:

Prezydent Wilson, który w tych dniach przybył do Paryża.

Mistrz Ignacy Paderewski, którego za kilka dni Polska powita u siebie.



Rozłam socyalizmu w Niemczech. Konferencya przedstawicieli rządów państw Rzeszy niemieckiej w Berlinie. Przemawia minister Ebert.

ustawiona czekała jedna z polskich dywizyi. Naczelny wódz. w towarzystwie gen. Cartelnau i prezesa Zamoyskiego, przeszedł przed frontem wojsk.

Po odbytej mszy polowej zeszli się chorążowie pułków ze sztandarami na środku olbrzymiego carée wojskowego. Pułkownik Korsznn Osmałowski odczytał rotę przysięgi, którą wódz naczelny, z ręką na sztandarze opartą, powtarzał w te słowa:

„Przysięgam przed Panem Bogiem Wszechmogącym, w Trójcy Świętej Jedynym, na wierność Ojczyźnie mojej, Polsce jednej i niepodzielnej. Przysięgam, iż gotów jestem oddać życie za świętą sprawę jej zjednoczenia i niepodległości, bronić sztandaru narodowego i honoru oręża polskiego do ostatniej kropli krwi, dbać o dobro powierzonych mi żołnierzy, strzedz karności wojsk. Przysięgam, że złożone w moje ręce naczelne dowództwo wojsk polskich wedle najlepszej wiary, sumienia i honoru wojskowego dla dobra Narodu Polskiego i wyzwolenia Ojczyzny sprawować będę. Tak mi Panie Boże dopomóż".

Po złożeniu przysięgi przez wodza naczelnego wystąpili przed front oficerowie i żołnierze odznaczeni za czyny wojenne, którym gen Castelnau osobiście przypiął dekoracye. Nareszcie nadeszła chwila defilady, którą prowadził gen. Vidalon, dowódca pierwszej dywizyi polskiej, przy dźwiękach marszów narodowych, z rozwiniętymi sztandarami, w długich szeregach frontowych (po 30 żołnierzy w rzędzie) szły bataliony piechoty z lasem bagnetów na ramieniu. Za pułkami piechoty ciągnęła baterya artyleryi (reszta artyleryi wraz z drugą dywizyą polską znajdowała się na froncie bojowym w ogniu), potem w galopie przebiegły dwa szwadrony szwoleżerów polskich.

A tymczasem na froncie lotaryńskim, w niewielkiej odległości od miejsca uroczystości, huczały działa polskie. Tam właśnie druga polska dywizya brała szturmem niemieckie pozycye i rozbrzmiewały na lotaryńskiej ziemi okrzyki: Marsz na bagnety!

Objąwszy naczelne dowództwo wojsk polskich, gen. Haller, który jako żołnierz w służbie czynnej nie może się oddawać działalności politycznej, podał się do dymisyi jako członek Komitetu narodowego. Wódz naczelny wojsk polskich (Commendant en chef des armees polonaise) gen. Haller jest zarówno władzą zwierzchnią dla wszystkich wojsk polskich w Rosyi Armia jego w całości liczy zatem siedm dywizyi (pięć we Francyi — z tego trzy były jeszcze w obozach ćwiczebnych, dwie dywizye w Rosyi, Syberya, Don i Kutania) i posiada prócz tego internowany oddział na wybrzeżu murmańskim. Prawdopodobnie włączone zostaną do niej wojska polskie, które walczyły po stronie włoskiej na froncie weneckim.

Zastępy wojsk narodowych stanęły 17 grudnia na ojczystej ziemi. Przed wszystkiemi witał je polski Gdańsk i szczęśliwa najdroższymi gośćmi umęczona Wielkopolska. Słusznie jej pierwszej zaszczyt ten przypadł w udziale. Z nią razem cały naród wzniósł okrzyk potężny: Niech żyje Armia Polska! Niech żyje jej Wódz Naczelny!

Wilson i Paderewski w Europie.

Historya polska ostatnich miesięcy złotymi głoskami zapisała dwa nazwiska, mianowicie Wilsona i Paderewskiego. Obaj zajęli wybitne stanowisko w rozwoju wypadków rozgrywających się w Polsce. Obu za kilkanaście dni powitamy między nami, jako zwiastunów wolności naszej i samoistnego bytu.

Prezydent Stanów Zjednoczonych wylądował już na ziemi francuskiej; jest to pierwszy tego rodzaju wypadek w historyi Stanów, by ich naczelnik opuszczał granice państwa. Ale Wilson chętnie przełamuje przyjęte zwyczaje.

Gdyby Wilson nie jechał sam, musiałby wysłać reprezentanta Stanów, a nie mógłby tego uczynić sam, tylko w porozumieniu z senatem. W senacie zaś, w którym przewagę mają republikanie, nie ma większości Wilson, który został wybrany przez stronnictwo demokratów; republikanie zyskali zaś obecnie na znaczeniu przez to, iż na ich korzyść wypadły niedawne wybory. Z tej strony senatu pojawił się wymierzony przeciw Wilsonowi demonstracyjny wniosek Shermana, by uznać, iż prezydentura Stanów zawakowała z powodu wyjazdu Wilsona do Europy.


Le Petit Journal
Les organisateurs et le chef des armées polonaises

Armia polska we Francyi: Organizatorowie francuscy armii polskiej: gen. Archinard. gen. Capdepont, płk. Vachoux i gen Vidalon.

W tych warunkach wyznaczenie osoby reprezentanta dla obrad przedwstępnych pokojowych, ważniejszych, niż będą późniejsze formalne, mogłoby wypaść nie po myśli Wilsona. Wolał jechać sam.

Mistrz Paderewski znajduje się w świcie prezydenta Wilsona. Orędownik interesów polskich na ziemi amerykańskiej oddał sprawie polskiej dotychczas ogromne usługi, to też wszyscy imię jego wspominają z wielką czcią. Obecnie, jak dzienniki donoszą, Paderewski ma w najbliższych dniach przybyć do Polski, która powita go z otwartymi ramionami, jako jednego z najlepszych swych synów. Ma on misyę polityczną do spełnienia. Może pod wpływem tego gorącego patryoty ustaną wreszcie waśnie narodowe rozbijające jedność i zgodę. Witać go będziemy gorącem sercem.



Armia polska we Francyi: Przysięga generała Hallera podczas rewii wojsk polskich w Lotaryngii 6 października b. r (tuż za linią bojową). Rotę odczytał płk. Osmałowski.



Fakta dokonane: Alzatki w malowniczych strojach ludowych

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

23

Jakób Klugfeder w pierwszej chwili wytrzeszczył oczy na tę niespodzianą uwagę brata. Potem roześmiał się głośno i machnąwszy ręką zawołał z wesołem politowaniem:

— Oj! Moryc! Moryc!

— Moryc jest taki do interesu, jak koza do pieprzu! — zawtórował mu rubasznie Goldbaum.

Klugfederowa rzuciła mężowi złe, pogardliwe spojrzenie. Zato ciemne oczy Rózi spoczęły na twarzy kuzyna z wyrazem sympatyi i współczucia.

— Ty jesteś dobry, uczciwy człowiek, Moryc! — szepnęła mu.

— Ja jestem prosty człowiek — odparł równie cicho i zwrócony wyłącznie do niej. — Ja wiem, że co białe, to białe, a co czarne, to czarne.

Rózia nie słyszała tej odpowiedzi. Spojrzenie jej zawisło znowu u wskazówek zegara. Pierś podnosiła się szybszym oddechem. Zaledwie kilka minut jeszcze!...

Goldbaum z przyjacielskim uśmiechem mówił teraz do Leona:

— To są bardzo ładne interesy! Das ist alles gut! Tylko żeby oni pana nie posłali na front, panie Leon.

— Co?! Na front?! Pan się potrzebujesz wyśmiać z tego! Ja tutaj zo...

Nie dokończył słowa i z otwartemi ze zdumienia ustami wpatrzył się w Rózię, która w tej chwili, rozogniona nagłymi rumieńcami, ze stukiem odepchnęła swoje krzesło i bez słowa jakiegokolwiek usprawiedliwienia, wybiegła z pokoju jak szalona.

— Was ist! — krzyknął Goldbaum.

Oczy pani Meli biegały niespokojnie. Zaczynała się czegoś domyślać.

— Rózię pewnie mocniej rozbolała głowa — wtrąciła pospiesznie, chcąc zażegnać burzę.

— Ajej!... — jęknęła Goldbaumowa — Ona chora! Ja muszę zaraz iść za nią. Może ona będzie potrzebować zimny okład!

— Ty idź! — rzekł krótko mąż.

Goldbaumowa kołysząc swoje opasłe, błyszczącym jedwabiem obciągnięte ciało, potoczyła się do pokoju córki.

Pokój był pusty.

— Rózia! — zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

Goldbaumową jakiś strach chwycił. Co to jest? Co to znaczy?! Gdzie Rózia? Może służąca ją widziała?

Jak mogła najszybciej podreptała do kuchni.

— Jagusia, ty widziała teraz pannę Rózię?

— A pewnie, że widziałam! — odrzuciła Jagusia, spoglądając drwiąco na swoją chlebodawczynię. — Poleciała do oficyny! Nawet szalika nie zarzuciła na siebie ani żakieta!

— Do oficyny?

W burych, niewielkich oczach dziewczyny migotały ogniki złośliwego zadowolenia. Jagusia rada była, że może porządnie dokuczyć „żydowicy".

— Musiała się przecież pożegnać z tym paniczem z drugiego piętra, z tym legi-jonistą, bo w tej minucie odjeżdża na kolej.

Goldbaumowa osłupiała. Nie rozumiała nic.

— Jagusia! Co ty za głupstwo potrzebujesz gadać!

— To nie jest żadne głupstwo! Prawie cała kamienica wie, że panna Rózia z tym panem Tadziem...

Urwała nagle i ugryzła się w język. Dziewczyna była harda, dokuczliwa, „pyskata", ale nie była z gruntu zła. I teraz żal się jej zrobiło Rózi, którą tak nieopatrznie zdradziła.

No, nic w tem niema złego — usiłowała naprawić swoją gadatliwość. — Ot, zwyczajnie jak młodzi. On pojedzie i tyle się będą widzieli. Nie potrzebuje też pani zaraz panu o tem gadać.

Zatłuszczone bezmyślne zwykle oczy Goldbaumowej nabrały jakiegoś żywszego wyrazu. Zapaliły się w nich na chwilę jakieś wilgotne blaski

Brwi podniosła wysoko w górę, fałdując czoło w grube zmarszczki. Leniwy, odwykły od samodzielnego myślenia mózg pracował z wysiłkiem. Coś pochwytywał, kombinował, przypominał może. A w tej trudnej pracy dopomagała mu siła wielka, cudowna, siła miłości macierzyńskiej.

— Ty powiadasz, Jagusia — rzekła po długiej chwili matka Rózina — że panna Rózia nie włożyła żakiet? Ona się może zaziębić. Ty weź szal i zanieś jej zaraz.

Zamyślona, wolnym krokiem wróciła do jadalni.

— Rózię naprawdę bardzo boli głowa — skłamała gładko. — Ona się potrzebuje trochę położyć. Jak jej będzie dobrze, to ona tutaj przyjdzie.

Goldbaumowa postanowiła sobie, że ani pani Meli, ani nawet mężowi nie powie co znaczył właściwie ten gwałtowny ból głowy jej córki.

ROZDZIAŁ VII.

Dwa razy dwa jest cztery.

Kazimierz Rawicz wracał do domu już dobrze po otwarciu bramy. Był niewyspany, zły, zmęczony, rozdrażniony. Cerę miał pożółkłą dzisiaj i jakby zmiętą. W głowie czuł przykry ciężar, a całą jego istotą władnął zarówno moralny jak fizyczny niesmak.

— A bodaj tego wampira!... — mruknął, myśląc o Luli Kalińskiej. — I po co ja tam znowu lazłem!...

Wszedł na drugie piętro i wolnym krokiem zdążał przez długi ciemnawy korytarz do swego mieszkania.

Korytarz ten przypominał hotelowy, tyle w nim było drzwi. Na jednych z nich widniał bilet wizytowy z nazwiskiem: Emilia Widlińska.

Kiedy Rawicz przechodził obok tego mieszkania, ktoś z zewnątrz odsunął metalową zasłonkę okrągłego okienka. W okienku błysnęły jakieś oczy i w tej samej prawie chwili otwarły się drzwi, energicznie szarpnięte.

— A ślicznie! ślicznie!... — zawołała młoda, przystojna kobieta, a oczy złoto-piwne pałały gniewem.

Od zimna osłoniła się grubym pledem, który zacierał linie jej ciała. Ale ruchy żywe, zgrabne, zdradzały, że musi być kształtna i giętka. Twarz świeża, lekko zaróżowiona, ujęta w ramy jasno kasztanowatych, bujnych, falistych włosów nie odznaczała się wprawdzie regularnością rysów, ale miała swój specyalny, drażniący wdzięk. Dolna warga, czerwieńsza i pełniejsza od górnej, wysunięta nieco naprzód, nadawała całej fizyognomii, niezmiernie ruchliwej i tryskającej temperamentem, wyraz trochę dumny, trochę pogardliwy.

W tej chwili ładna kobietka była wyraźnie rozgniewaną. Nozdrza jej krótkiego, odrobinę za szerokiego noska poruszały się szybko, jak u młodego źrebca.

— Ślicznie! — powtórzyła — cudownie!... O tej godzinie wraca się od... no już nie powiem od kogo! A tam, w mieszkaniu, znowu jakaś czeka!...

Kazimierz Rawicz zmierzył ją spojrzeniem. Marzycielskie, zadumane oczy jego dziwnie się zmieniły. Miały teraz w sobie ostre połyski stali i odpychały lodowatym chłodem.

— Czego pani sobie życzy? — zapytał krótko, szorstko i wyniośle.

Pani Mila Widlińska zmieszała się i opuściła wzrok ku ziemi. Wobec innego mężczyzny nie zapomniałaby napewno swego obrotnego, często zuchwałego języczka, ale Rawicz posiadał dar imponowania jej, zawsze umiał ją poskromić.

Ot, teraz chciała mu zrobić awanturę, najsłuszniej w świecie. No i nie pozwolił na to! Odrazu, jednem spojrzeniem, samym dźwiękiem głosu, zahamował wzburzony potok wymowy obrażonej, zazdrosnej kobiety.

I tak bywało od początku ich znajomości.

Pani Mila jest „słomianą" wdówką. Mąż jej od trzech lat przebywa na różnych frontach bojowych, a młoda żona nudzi się sama i tęskni. Co prawda teraz tęskni daleko mniej, kiedy poznała pięknego Kazimierza Rawicza.

Od roku mieszkają w tym samym korytarzu, nic więc dziwnego, że zawiązała się między nimi znajomość poufalsza, nawet bardzo poufała. Boć „wojenka coś za długo", jak mówi piosenka, a pani Mila jest młoda, ponętna, pełna temperamentu, a Rawicz taki piękny i niezwykle inte esujący.

Tylko jakoś nie umiała sobie z nim radzić. Nie ona nad nim, ale on nad nią panował. Żadnych kaprysów nie uznawał, scen i awantur nie znosił. Ilekroć ładna sąsiadka usiłowała „stroić fochy", on odrazu robił minę wielkiego pana, który karci impertynencyę kogoś nieskończenie niżej od siebie stojącego.

I tem właśnie „brał" ją.

— On jest zupełnie inny niż wszyscy mężczyźni na świecie — myślała nieraz. — Taki piękny, taki mądry, że wolno mu być dumnym.

I teraz, dając za wygranę gniewom, bąknęła nieśmiało, tak jak gdyby to ona była winowajczynią:

— Ja... ja chciałam panu tylko powiedzieć, że tam, w pańskiem mieszkaniu jest jakaś dama.

Kazimierz tak się zdumiał i zaniepokoił, że wypadł z roli obrażonego.

— Jakaś dama?!

— A tak. Rozporządza się, jakby u siebie w domu. Zawołała stróżkę i kazała jej zapalić w piecu.

Rawicz pożegnał sąsiadkę dosyć niedbałym ukłonem i pospieszył ku drzwiom swego mieszkania, zachodząc w głowę, kto to jest owa dama, która tak śmiało sobie poczyna. I jak się tam dostała? Bo stróżka ma wprawdzie zapasowy klucz do pokoju, ale zakazał jej przecie raz na zawsze dawać go komukolwiek.

— Czyby to Walerka?... No, damże ja jej!

Z irytacyą nacisnął klamkę i wszedł. Wysoka, ciemnowłosa, trzydziestokilkoletnia kobieta oderwała wzrok od maszynki naftowej, na której gotowała herbatę i odwróciła ku wchodzącemu głowę.

W jednej chwili zmienił się wyraz twarzy Rawicza. Piękne jego rysy rozjaśniły się uśmiechem przyjemnego zdziwienia.

— Wacka! — zawołał — Co za niespodzianka!... Skądżeś się wzięła?!

Wacława Rawiczówna podbiegła do brata. Rodzeństwo przywitało się serdecznie, przyjacielsko.

— Wcześnie wracasz do domu, mój Kaziu! — zauważyła z uśmiechem Wacława.

— Ech Waciu, widzisz, to... — zaczął, ale spotkawszy mądre, przenikliwe spojrzenie siostry, urwał zaraz.

— Dajno spokój, Kazik! Nie potrzebujesz błagować! Po pierwsze i tak ci nie uwierzę, po drugie nie jestem mamą. Nie mam zamiaru prawić morałów.

Brat roześmiał się, ale znać było po nim, że jest trochę zakłopotany.

— Psie zimno tu było u ciebie — mówiła dalej Wacława — kazałam stróżce zapalić i przyrządziłam herbatę. Ale tybyś wolał może czarną kawę? Pewnie cię głowa boli...

— Ależ nie! — zaprzeczył, zdejmując palto i wieszając je w szafie. — Myślisz może, że piłem... Nigdy w życiu!...

— Prawda, prawda, wzorowy braciszku! Zapomniałam, żeś ty prawie zupełny abstynent! Nie pijesz, nie palisz, nie grasz w karty! Tylko kobiety to twoja słabość!...

— Właściwie to kobiety mają do mnie słabość! — poprawił z niedbałym humorem Kazimierz, ziewnął i usiadł przy stole, na którym siostra postawiła dwie szklanki z herbatą.

— I to racya! No, nie dziwię się im! — Rawiczówna z jakąś macierzyńską czułością pogładziła swego pięknego brata po włosach, spoglądając jednocześnie badawczo na niego. W ogóle w spojrzeniu jej, kiedy patrzyła na Kazimierza, dumą i tkliwość mieszały się z pobłażliwą ironią. Dobrze znała tego swojego braciszka, którego kochała bardzo i od dzieciństwa psuła i rozpieszczała. Dla niego wyrzekła się niejednego marzenia młodości, dla niego zakopała się w prowincyonalnej dziurze i tam przez cały dzień harowała za ladą sklepową, a po nocach robiła sztuczne kwiaty, aby tylko jemu łatwiej szło życie, aby mógł bez przeszkód zdobywać majątek i świetne stanowisko. Roiła sobie bowiem, że Kazimierz, dzięki swej piękności, dystynkcyi i zdolnościom, wybije się szybko, że nową jakąś sławą opromieni stare nazwisko Rawiczów, no i przytem ugruntuje sobie poważną sytuacyę materyalną. Bo Wacława Rawiczówna była nietylko ambitną, ale i praktyczną. I ostatnie lata dały jej dużo do myślenia.

Wacława była o kilka lat starszą od brata. On był dzieckiem jeszcze, ona już podrastającą, nad wiek dojrzałą dziewczęką, kiedy umarł ojciec i obdłużona wieś poszła na licytacyę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rozłam socyalizmu w Niemczech: Powrót wojsk niemieckich z frontu (Lip. b. pras.)

Rozłam socyalizmu w Niemczech.

Rządy socyalistyczne w Niemczech chwieją się coraz bardziej. Rozłam w łonie partyi socyalistycznej zaznacza się coraz silniej, tak, iż władza obecnego gabinetu staje się z dnia na dzień słabsza.

Socyalizm niemiecki podzielił się obecnie na trzy grupy: tak zwaną prawicowych socyalistów, na których czele stoją Ebert, Scheideman, Dawid, Molkenbuhr i inni; niezawisłych, do których zaliczają Haasego i Ledebura; grupę Spartakusa, w której główną rolę odgrywają Liebknecht i Róża Luksemburg; ta ostatnia ma program wybitnie wywrotowy i wzornje swój program państwowego ustroju na rosyjskim bolszewiźmie. Komuniści, jak sami się nazywają, są stosunkowo nieliczni, ale jako najruchliwsi i najbezwzględniejsi, walczą skutecznie z ociężałym rządem Eberta Scheidemana. Organem ich jest „Die Rothe Fahne". Niezawiśli, którzy wydają dziennik „Freiheit", lawirują pomiędzy obu skrzydłami, przechylając się widocznie ku komunistom.

Dopiero na tle tych wewnętrznych zatargów rewolucyjnego obozu można zrozumieć i ocenić ostatnie wypadki berlińskie.

Ogół żołnierzy, zwłaszcza z pułków, które do końca walczyły na froncie, sympatyzuje z prawicowymi socyalistami i popiera rząd obecny, chociaż w jego skład wchodzą także niezawiśli. Z tej strony wyszła inicyatywa obwołania Eberta prezydentem republiki i oddania mu najwyższej władzy w państwie. Ebert dał deputacyi żołnierskiej, która mu niejako dyktaturę ofiarowała, odpowiedź dwuznaczną, oświadczył mianowicie, że musi naradzić się ze swojem stronnictwem. To ostudziło znacznie zapał żołnierzy, którym wogóle brakuje politycznego kierownictwa.

Tymczasem została podjęta próba zamachu ze strony kół burżuazyjno biurokratycznych, w sposób dotychczas nie dość wyjaśniony. Urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych hr. Matuschka i bar. Reinboben podjęli na spółkę z kilku oficerami gwardyi próbę stłumienia propagandy anarchicznej, której ogniskiem jest komitet wykonawczy rady robotniczo-żołnierskiej. Wzięli się do tej roboty dość niedołężnie, a przedewszystkiem nie znaleźli inteligentnych i śmiałych wykonawców. Oficerowie widocznie nie chcieli narazić się na ryzyko tego przedsięwzięcia, gdyż na czele oddziału, który dokonał istotnie aresztowania komitetu, stał feldfebel. Wojsko obsadziło parlament, członków komitetu podzielono na grupy i miano ich poprowadzić do koszar gwardyjskich. Tymczasem na alarm telegraficzny przybył do parlamentu poseł Barth, dodany dla kontroli ministrów wojny i po prostu wyperswadował feldfeblowi, aby aresztowanych wypuścił. Zamach się nie udał; główni sprawcy, którzy pozostali w cieniu, uciekli z Berlina, a na Wilhelmstrasse przyszło do starcia pomiędzy oddziałem żołnierzy, strzegących dawnego pałacu kanclerza, a grupą demonstrujących komunistów, którzy ruszyli na pomoc komitetowi wykonawczemu. Przy strzelaninie padło trupem dwudziestu demonstrantów, około sześćdziesięciu odniosło ciężkie rany.

Równocześnie w Niemczech rozbrzmiewa coraz szerzej hasło antysemityzmu, które o tyle znajduje poparcie, że żydzi biorą żywy udział w bolszewickiej propagandzie.

Rozstrzygającym momentem w polityce rad robotniczo-żołnierskich w Niemczech będzie wynik obecnie obradującego kongresu tychże rad. Znamiennem jest, że pod naciskiem koalicyi Niemcy odmówiły pozwolenia na przyjazd przedstawicielom sowietów rosyjskich. Kongres obraduje w Berlinie. Zebrał on się w parlamencie 18 b. m. Stół prezydyalny i trybuna mowców były dekorowane czerwonem suknem i wieńcami. Przy stole rządowym zasiedli członkowie rządu i Rady wykonawczej, między nimi Ebert, Scheidemann, Landsberg, Haase, Ledebour, Cohen Reuss i Molkenbuhr. Sala i trybuny były zapełnione.

Posiedzenie zagaił Ryszard Mueller, witając zgromadzenie. Następnie komisarz ludowy Ebert mówił o wielkim przewrocie i zaznaczył, że złączenie się żołnierzy i robotników ze wszystkich stron Niemiec ma zapewnić na najbliższe tygodnie jednolitość w na-



(Lip. b. pr.) Widok Deczina, miasta czeskiego, na prawym brzegu Elby.



Nowe Czechy: Miasto Litomierzyce zajęte w ostatnich dniach przez wojska czeskie.



Niemcy a koalicya: Rewolucyoniści rozrzucają odezwy po ulicach Berlina.

rodzie i w kierownictwie państwa, a na przyszłość ma w Niemczech istnieć tylko jedno państwo, rządzone prawem. Taką jest wola całego narodu niemieckiego. To było myślą przewodnią rewolucyi.

Przewodniczącymi wybrano Leinerta (większość socyalistyczna), Seeglera (młodo socyalista) i Gromelkę, jako zastępcę żołnierzy z frontu zachodniego. Sekretarzami trzech socyalistów większości, trzech młodo socyalistów i po jednym zastępcy frontu wschodniego, zachodniego i marynarki.

Wniosek delegata bawarskiego, aby Libknechta i Różę Luksenburg z powodu inh zasług dla rewolucyi zaprosić na kongres, jako gości, odrzucono wśród wielkiej wesołości.

Komisarz ludowy Mueller złożył sprawozdanie. Podczas jego mowy zjawili się delegaci tłumu, demonstrującego przed gmachem parlamentu Byli to zwolennicy grupy Spartakusa, którzy przedłożyli szereg żądań. Wśród wielkiego niepokoju oświadczył przewodniczący Leinert, że kongres przyjmuje te żądania do wiadomości i przeprowadzi nad niemi dyskusyę.

Charakterystycznem dla oceny sytuacyi jest, że minister spraw zagranicznych dr. Solf ustąpił ze swego stanowiska i to właśnie w chwili, gdy rozstrzygają się losy rządu.

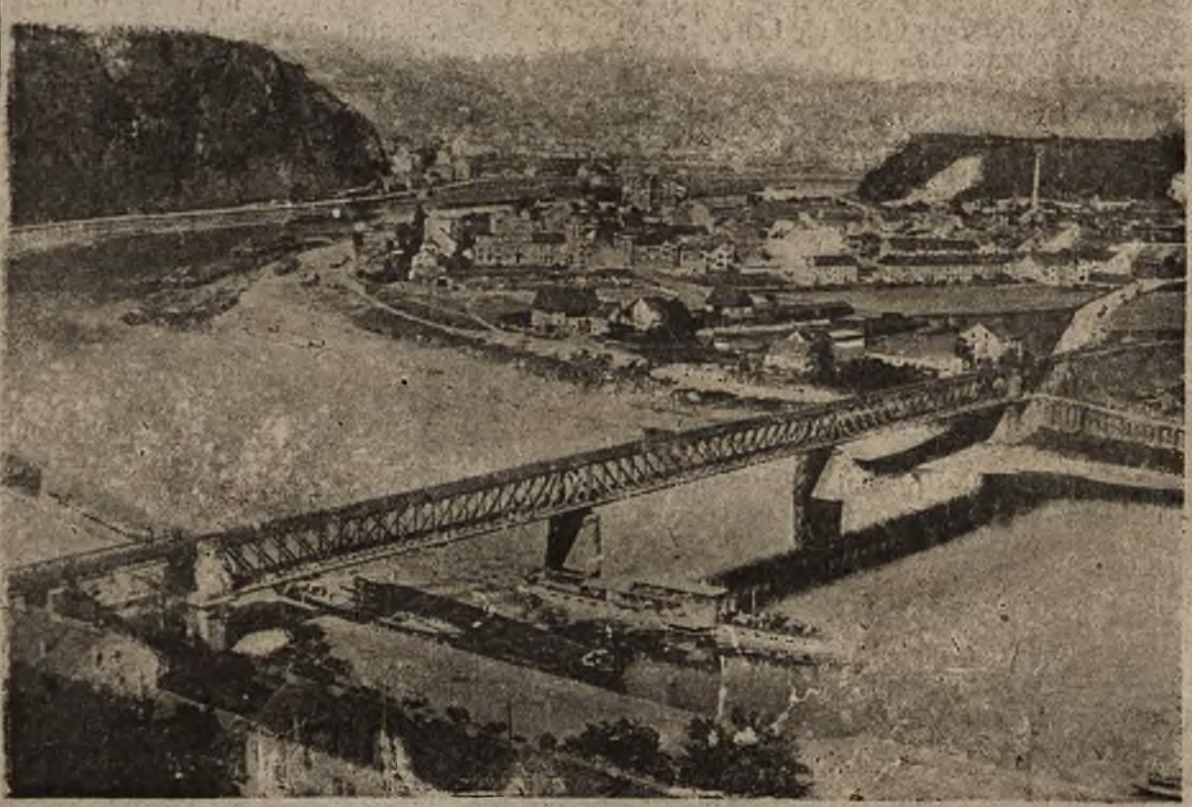
W każdym razie koalicya, jak się obecnie okazuje, jest zdecydowana wywrzeć bardzo silny nacisk na Niemcy w kierunku antybolszewickim. Nacisk ten stoi w łączności z akcyą koalicyi podjętą przeciw bolszewikom w Rosyi.

Powrót wojsk z frontu odbywa się powoli i natrafia na liczne trudności, które potęguje szerząca się wśród mas wojskowych dezercya, a co za tem idzie, anarchia.

Tak więc Niemcy schodzą powoli w fazę, jaką przeżywała Rosya przed kilku miesiącami.



Nowe Czechy: Husinez, miejsce urodzenia Husa. (Lip. b. pras)



Nowe Czechy: Miasto Usti (Aussig) zdobyte przez wojsko czeskie. (Lip b. pras)

Nowe Czechy.

Przywódcy narodu czeskiego budują państwo czeskie energicznie i konsekwentnie, a przytem bezwzględnie. Żadne doktryny polityczne nie krępują ich działalności; jedynem wskazaniem jest dla nich czeski interes państwowy. Gdzie to korzystne stosują zasadę etnograficzną; w innych wypadkach powołują się na prawa historyczne, a i samostanowienia narodów nie pomijają gdy to im dogadza. Słowaczyzna nigdy, w żadnym okresie nie należała do państwa czeskiego; obecnie ma być wcielona na podstawie samostanowienia. Wobec Niemców czeskich wysuwają prawa historyczne; przeciwko Polakom służy im tendencyjnie naciągana etnografia; ale gdzie chodzi o przymnożenie państwu czeskiemu obszaru i ludności, dobre są wszystkie środki i wszystkie teorye.

W przeprowadzeniu planów pomagają im dwie okoliczności: aureola absolutnego zaufania i bezwarunkowego poparcia koalicyi i wspaniała, budująca i niewzruszona solidarność społeczeństwa.

Skoro tylko stało się widocznem, że rozpad Austryi jest nieunikniony, nastąpiła w Czechach powszechna konsolidacya narodu: powstał „Narodni Vybor“, który ujął w swoje ręce kierunek czeskiej polityki. Do tego, jakby prowizorycznego rządu, przystąpiły wszystkie stronnictwa, istniejące w Czechach. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło stosować ostracyzm do jakichkolwiek prądów politycznych, wykluczać od udziału w budowie państwa czeskiego jakiekolwiek grupy, stojące na gruncie narodowym. Najradykalniejsi politycy nie zaryzykowali zastrzeżeń i nie próbowali podnosić uroszczeń do przewagi w imię socyalnych programów, na rzecz jakiejś „ludowej“ republiki.

Dzięki sile zbrojnej potrafili Czesi obalić niemieckie rządy gminne w miastach, mających ogromną przewagę ludności niemieckiej, jak Berno i Ołomuniec i wprowadzić na ich miejsce komisye mieszane z czeską większością. Niemcy protestują i wyrażają swoje oburzenie, ale wkońcu poddają się przemocy.

Czesi postanowili utrzymać jednolitość historycznego państwa czeskiego i odrzucają wszelką myśl wydzielenia niemieckich okręgów. „Kto nie chce pozostać w państwie czeskiem, może wyemigrować“ — taką odpowiedź dali Niemcom, którzy żądali, aby im wolno było na zasadzie samostanowienia narodów przyłączyć się do niemieckiej Austryi — a gdy niektóre miasta niemieckie spróbowały nawiązać polityczne stosunki z rządem austryacko-niemieckim, wojska czeskie natychmiast wkroczyły, aby przekonać „zdrajców stanu“, że siła leży po stronie czeskiego państwa.

Niemcy austryaccy w odpowiedzi na stanowisko Czechów stworzyli odrębny rząd dla niemieckich prowincyi Czech i wystąpili do walki z rządem czeskim. Wynik walki był ten, że obecnie wojska czeskie wkroczyły do okręgów niemieckich i zdobywają je z bronią w ręku.



Nowe Czechy: Miejscowość kąpielowa czeska Cieplice w części niemieckiej Czech. (Lip. b. pr.)

red. M. Withe.

Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

15

— Tak, przez prosty przypadek. Oczywiście zdjęłam go zaraz przez ostrożność. Potem myślałam nad tem i to tak szczegółowo, że wkońcu mogłam odgadnąć myśli pewnej osobistości. Czy opowiedzieć to panu?

Frobisher skłonił się głęboko, podczas gdy Lefroy niespokojnie kręcił się na krześle.

— Widzi pan — zaczęła z pewnością siebie — przyrównałam cała tę sprawę do zręcznej gry czarodzieja, który komuś z towarzystwa daje kartę, którą chce wykonać swój kawał. Przypuśćmy, że pan jest owym czarodziejem, ja medyum, a karta — ten, w tym wypadku gorąco przez pana pożądany błękitny kamień. Czarodziej wie, że tenże znajduje się w rękach starca, który czasami pozwala swej młodej, pięknej żonie stroić się w klejnoty, będące u. niego w przechowaniu. Odbywa się wielki bal maskowy, na który i medyum jest zaproszone, a czarodziej namawia je, by ustroiła się w rubiny, mądrze przewidując, że zdobędzie u męża także i ka mień błękitny, który przecież też jest rubinem. Reszta robi się już sama przez się.

— Cudownie! - rzekł Frobisher. — Że też pani tak szybko wykryła czarodzieja! Ale — chociaż mu pani chciała popsuć grę, musi kartę otrzymać. Czy mnie pani rozumie?

- Oczywiście! — odparła wesoło. — Czarodziej nie daje się zbić z tropu, chociaż medyum jest dlań za mądre.

— Chciałbym błękitny kamień pożyczyć — rzekł znowu Frobisher prawie groźnie.

— O tem pomówimy później. Tymczasem zabawmy jeszcze chwilę przy czarodzieju. Jeśli mu tak bardzo na kamieniu zależało, to rzecz prosta, że będzie usiłował dostać go nawet siłą. Liczy na to, że medyum nie odważy się jego oskarżyć, bo nikt nie uwierzyłby temu. Jakżeż mógłby gospodarz pod swoim własnym dachem obrabowywać gościa — to rzecz nie do uwierzenia! Medium musi nadto mieć wzgląd na swego starego męża, którego kwestya ta mogłaby zaprowadzić do więzienia. Naprawdę, moi panowie, myśli te denerwują mnie mocno. Wyobrażam sobie, że moglibyście panowie napaść na mnie i wyrwać mi ów przedmiot, którego byłabym z pewnością nie dotknęła nawet, gdybym była znała jego historyę. To bardzo nie mądre z mej strony...

— Nie słusznie łaskawa pani tak mówi — przerwał Frobisher powstając. — Spotkałem w życiu wielu mądrych ludzi, ale pani jest najmądrzejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Podziwu godnym jest spryt pani, jak niemniej i odwaga.

Pani Bernsteinowa powstała również — nadszedł moment krytyczny, ale nie okazała strachu żadnego.

— Pan uważa, że ostrożność jest lepszą cząstką waleczności — rzekła drwiąco. — Anglicy nigdy nie chcą wiedzieć, kiedy są pobici. Ja jednak sądzę, że pobity nieprzyjaciel bywa często niebezpieczniejszy. Czy pan rzeczywiście tak bardzo pragnie posiąść błękitny kamień, sir Clemensie?

— Rozumie sie. Muszę go mieć.

— Muszę, to nieładne wyrażenie.

— O to teraz nie chodzi - wmieszał się Lefroy poraz pierwszy w rozmowę. — Poco to bezcelowe gadanie? Czy zechce nam pani pożyczyć owego kamienia na krótki czas?

— Niech mi pan najpierw odpowie na jedno pytanie. Jeżeli go nie dam, czy użyje pan siły?

Frobisher skinął nieświadomie głową i coś mruknął, przyczem zabłysły mu żółte zęby. Z oczu padł błysk chciwości i odruchowo przybliżył się do niej.

— Jeszcze słowo! — wstrzymała go podniesionym głosem. Przypuśćmy, że medyum chce zepsuć grę czarodziejowi i oświadcza, że kartę zmieniło. Cóż będzie?

Ciche przekleństwo wymknęło się z ust milionera; wystąpiła nagle cała dzikość jego natury — dyszał wprost niepohamowaną złością. W tej chwili, gorzkiego zawodu opanowały go mordercze myśli.

— Czy pani... chce... przez to... powiedzieć — syknął urywanemi słowami przez zęby.

— Że karta zniknęła i że czarodziej został wyprowadzony w pole — odparła tryumfująco. — Czyż wyglądam na to, żebym mogła być piłką w ręku mężczyzny? Jeśli pan kartę znajdzie, dobrze; jeśli nie, to pan jest pokonany. Kamień nie jest już w mojem posiadaniu!

Frobisher patrzył na nią bez ruchu — wiedział, że mówiła prawdę.

Lefroy zerwał się z krzesła.

— To niemożliwe! — wybuchnął. — Niech pan nie da sobie tego wmówić, panie Frobisher.

Frobisher opanował się tymczasem.

— Czemu się pan niepotrzebnie unosi, mój przyjacielu? — rzekł, kryjąc zręcznie złość swą pod wyrozumiałym uśmiechem. — Czy pan zapomniał całkowicie odróżniać prawdę od kłamstwa? Ja wierzę, że każde słowo pani Bernsteinowej jest prawdą. Nadaremnie trudziliśmy się, kochany hrabio — spryt kobiecy zwyciężył nas.

— Komu mogła oddać kamień? — mamrotał Lefroy.

— Oto właśnie idzie — odparł Frobisher. — Przecież ona tu nikogo nie zna.

— Muszę panią podziwiać, łaskawa pani — zwrócił się do pani Izy, która znów swobodnie zajęła swe miejsce. — Pani gruntownie zakpiła sobie ze mnie, a to nie zdarzyło mi się od czasów szkolnych. Hrabio, myślę, że pan może odejść — nic tu niema do zyskania. Zresztą..

— Zresztą — dokończyła pani Iza — książę jest w takiej samej sytuacyi, co i przedtem. Ktokolwiek w tej chwili klejnot posiada — w każdym razie nie książę.

Wściekły z irytacyi oddalił się Lefroy, zatrzasnawszy drzwi za sobą.

Frobisher zapalił papierosa.

— Dzisiejszy wieczór musi być dla pani szczególnie miłym, łaskawa pani — odezwał się tak swobodnie, jak gdyby nic nie zaszło między nimi.

— Był to wieczór najmilszy, jaki pamiętam — przyznała otwarcie. — Po pierwsze wywołałam duże wrażenie, co już jest dla kobiety przedsmakiem raju, a potem stałam się główną sprężyną zajmującej intrygi. Przepadam za intrygami i tajemnicami. W tym wypadku miałam być maryonetką, piłką w ręku drugich — ale wszystkich pokonałam. O, ten wieczór nie prędko zapomnę!

— Wierzę mocno — przytaknął Frobisher złośliwie. — Gdybym był naprzód wszystko wiedział, byłbym pani pożyczył najpiękniejszy z moich rubinów, a błękitny kamień byłby wypadł z gry. Czemuż pani nie wciągnąłem do tej sprawy jako wspólniczki!

— To byłoby się nie udało — odparła pani Iza zimno — gdyż byłabym panu nigdy nie dowierzała.

Frobisher roześmiał się. Podobała mu się ta szczerość.

— Nie biorę pani tego za złe — rzekł. — Dla silnego wroga mam szacunek. Bądź co bądź chętnie byłbym pani pożyczył mój wielki rubin. Mam nadzieję, że pani zechce przyjąć odemnie jakiś drobiazg na pamiątkę dzisiejszego wieczoru. Jeśli pani pozwoli, przyniosę kilka z moich rubinów i będę się cieszył, mogąc najpiękniejszy z nich pani ofiarować. Tymczasem niech pani podziwia moje orchidee. Przecież nie uprowadzi pani mej szkarłatnej orchidei? — dodał żartobliwie.

— Czy mogę ją dokładniej obejrzyć? — zapytała powstając.

Usłużnie puścił Frobisher w ruch jeden z automatów, wskutek czego rusztowanie, na którem orchidea była rozpięta, opuściło się niżej.

Pani Iza pieszczotliwie dotknęła kwiatów, które otoczyły wieńcem jej głowę i ramiona.

— Co za obraz dla malarza — rzekł Frobisher z podziwem. — Zaraz powrócę, łaskawa pani!

Wyszedł, podczas gdy pani Iza stała jak zaczarowana w pośrodku cudownych kwiatów.

— Rozumiem, że sir Clemens nie chce się z nią rozłączyć — pomyślała. — Liczne jej odnogi i gałęzie wyglądają jak połyskliwe węże, nie brak nawet syku.

I rzeczywiście: syk głośny pary wodnej, wydobywającej się z kotła, przesłonił mgłą całe rusztowanie. Roślina zdawała się nabierać życia i nagle pani Iza uczuła silne, jakby kleszczami, ściśnięcie ramienia. Kleszcze coraz mocniej się zaciskały, ból stawał się nie do wytrzymania, a przecież nie było widać żadnej zbrodniczej ręki, ani żadnego narzędzia. Stała jakby ubezwładniona, ale wnet wyrwała ją z tego otumanienia myśl o podaniu straszliwem, jakie się łączyło z szkarłatną orchideą. Z całej siły starała się ramię wyciągnąć, lecz nadaremnie. Już zmysły poczęła tracić, kiedy spostrzegła jakąś zamgloną postać strojną w turban; rusztowanie wzniosło się w górę, a ramię jej zostało gwałtownie wyrwane z kleszczy. Jakiś męski, przyciszony głos szepnął:

— Mam nadzieję, że nie zbyt silnie pani została skaleczona! To było okropne!

XIII.

Kiedy pani Iza jako tako przyszła do siebie po doznanym przestrachu, spostrzegła stojącego obok niej adjutanta księcia, narzeczonego Angeli.

— Co to było? — zapytała słabym głosem.

— Jeszcze teraz nie mogę pani tego wytłomaczyć — odrzekł wymijająco. — Odkrycie to mnie samego pozbawiło myśli i spokoju. Jak się pani dostała w takie położenie?

— Podziwiałam kwiaty i abym je dokładniej obejrzeć mogła, sir Frobisher na skutek mej prośby opuścił ku dołowi rusztowanie i wyszedł, aby mi coś przynieść, zaraz potem coś ścisnęło mi bardzo mocno ramię.

— Jakby jakaś niewidzialna ręka, prawda? — zapytał Harold skwapliwie. — Szczęście, że przypadkiem poruszyłem sprężynę i wskutek tego rozluźniła się siatka tak, że mogłem pania uwolnić! Szczególna historya! — dodał, wstrząsając głową. - Sir Frobisher byłby zresztą wcale do pani nie wrócił, widziałem go przed chwilą, jak wychodził z domu z kimś obcym. Ale panią musi bardzo boleć ręka?

Pani Iza odsunęła rękaw i pokazała Haroldowi ramię, na którem widać było pas krwawy, a pod nim rozdartą skórę.

— Czy mogłaby pani zajście to zachować w tajemnicy czas jakiś? To bardzo ważne, gdyż mielibyśmy niemal pewność, że oddamy pod szubienicę największego łotra pod słońcem.

— Będę milczała, tylko coprędzej chciałabym się udać do lekarza.

— Oczywiście. Ból musi być nieznośny. Na szczęście śród gości znajduje się doktór Brown, zawołam go tu niepostrzeżenie.

Po paru minutach zjawił się sławny chirurg, któremu Denvers udzielił w krótkich słowach potrzebnych wyjaśnień.

Lekarz zbadał ramię pani Izy z drobiazgową dokładnością.

— Nic nie złamane — rzekł — tylko mocny ucisk, ale niepojęta rzecz, czem. Ludzka ręka nie mogłaby tak mocno ścisnąć. Czy pani widziała napastnika?

Iza zaprzeczyła.

— To ciekawe! Są to tesame znaki, tesame pręgi, jakby od twardego sznura, jakie widziałem u nieszczęśliwego pana Manfreda. Co to może być?

— Coś potwornego, panie doktorze! Ale proszę bardzo o przypadku tym nic nikomu nie wspominać.

Doktór przystał na to.

— Radziłbym pani bezzwłocznie udać się do domu — zwrócił się do pani Izy — i przykładać zimne okłady. Jakże się pani jednak pożegna z gospodynią domu, aby się przed nią z niczem nie zdradzić, skoro pani ma odkryte ramiona.

Pani Iza rozwiązała tę kwestyę w sposób jej charakterystyczny, zdzierając z ramion lekki materyał i przesłaniając nim skaleczone miejsce.

Uczyniwszy to, kazała poprosić do siebie lady Frobisher i wytłómaczywszy się przed nią, że z powodu rozdarcia sukni zmuszona jest opuścić zabawę, wyszła do powozu w towarzystwie Denversa.

— Postaram się wywdzięczyć panu — rzekła, ściskając dłoń Harolda. — Proszę powiedzieć pannie Lynn, żeby zechciała mnie jutro rano odwiedzić i żeby przyniosła niebieskie orchidee. No więc jakże, czy rozwiązał pan tę szasliwą zagadkę szkarłatnej orchidei?

— Sądzę, że tak — odparł poważnie Denvers. — Ale ot, idzie sir Clemens ze swoim najnowszym sprzymierzeńcem, Hamidem.

Pani Bernsteinowa skinęła głową. Tego się spodziewała.

— Panie Denvers i ja zrobiłam odkrycie. Proszę, niech pan przyjdzie jutro o jedenastej do mnie; dowie się pan czegoś przyjemnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fakta dokonane.

Zanim zbierze się powszechna konferencya pokojowa, państwa tworzą fakta dokonane, aby w ich świetle uzasadniać swe pretensye, z którymi zamierzają wystąpić na szersze forum świata. Chciały je stworzyć mocarstwa centralne w ciągu wojny zajmując części państw nieprzyjacielskich. Klęska zniweczyła te zamiary. Obecnie tosamo czynią państwa koalicyi i te, które na gruzach dawnego porządku wyrastają.



Armia polska we Francyi: General Haller i major W. P. Fronczak (z Ameryki)

Tak Czesi zajmują niemieckie okręgi Czech. Włosi obsadzają południowe prowincye dawnej Austryi, zaś Francya odebrała Alzacyę i Lotaryngię. Belgia pragnie przyłączenia Luksemburga, zaś Dania Szlezwigu i Holsztyna.



Fakta dokonane: Merowie Alzacyi w Paryżu

Sprawę Alzacyi omawialiśmy tu już kilkakrotnie. Dzisiaj podajemy szereg illustracyi przedstawiających ostatnie wydarzenia w tym kraju po zajęciu go przez wojska francuskie. Między innymi merowie wszystkich okręgów udali się do Paryża, celem złożenia hołdu stolicy swej ojczyzny. Byli tam przyjmowani owacyjnie i uczestniczyli w uroczystościach, jakie na cześć odzyskania Alzacyi Paryż wyprawił.

Kobiety alzackie przybrały się znowu w strój narodowy, który był przez Niemców zakazany. Noszą go nawet damy z inteligencyi, solidaryzując się w ten sposób z powszechnym głosem radości, jaki brzmi w całym kraju.

Smiała kradzież.

Rozwydrzenie złodziei, spryt ich i pomysłowość zaczynają dochodzić obecnie już do ostatecznych granic. Dowodem tego jest kradzież, dokonana niedawno w Krakowie, w krajowym sądzie karnym. W nocy włamali się złodzieje do kasy depozytowej krajowego sądu karnego w Krakowie i skradli złożone depozyta i kosztowności wartości stu tysięcy koron. Złoczyńcy dostali się do lokalu kasowego po drabinie od ulicy Poselskiej. Przeszedłszy salę rozpraw, dostali się korytarzem do biura naczelnika radcy Korytyńskiego i tam rozbili dwie wertheimowskie kasy, których całą zawartość zabrali. Kradzież dostrzegła rano służba. Na miejsce przybyli: Komisya policyjna pod kierunkiem komisarza Dra Warczewskiego, inspektor policyi Majer z psem, prezydenci sądu pp. Wolter i Pelz.

Poszukiwania za złodziejami trwały kilka dni. Wreszcie udał się władzom połów, który prawdopodobnie w ich ręce oddał właściwych sprawców. Mianowicie w ręce policyi krakowskiej wpadło dwóch bardzo niebezpiecznych bandytów, specyalistów od rozbijania kas ogniotrwałych, 27 letni Józef Górecki i 20 letni Stanisław Kurek. Aresztowani są podejrzani o udział w rozbiciu kasy w Związku ekonomicznym przy ulicy Garncarskiej oraz w rabunku kasowym w krajowym sądzie karnym. Odebrano od nich cztery motocykle, za które płacili nowymi tysiąc koronowymi banknotami po dwa tysiące koron. Są oni podejrzani także o włamania kasowe na prowincyi. Dwaj ich spólnicy Antoni Bobel i Józef Kiszka umknęli z Krakowa pod fałszywemi nazwiskami.





Fakta dokonane: **Stary dom historyczny w Kolmarze.** **Mieszczański dom w Strassburgu w starej dzielnicy.** (Lip. b. pr.)

Kronika tygodniowa.

I znowu, po raz piąty z rzędu w wojennym czasie, staję przed P. T. Czytelnikami z opłatkiem w ręku.

Gdyby mi kto był przed pięciu laty powiedział, że tak będzie, byłbym go z pewnością wyśmiał i radził, aby... w konia wlazł, jak się to u nas zwykle mówi, dziś jednak widzę, że byłby miał racyę.

Tak widocznie chciał .. z początku cesarz Wilhelm, później pan Wilson i koalicya, a czego jeszcze i komu się zachce, to już Pan Bóg raczy wiedzieć. Na to rozum ludzki zupełnie nie wystarczy.

Ale to sęk, jak życzyć, skoro już cztery razy z rzędu obiecywałem koniec wojny, a życzenie dotąd się nie spełniło. Nibyto wojna się już skończyła, a w całym świecie czuć jeszcze to naprężenie wojenne, które każdej chwili grozi wybuchem.

Niech się dzieje, co chce — powiedziałem sobie — spróbóję jeszcze raz, a może się przecież uda! Przygotowałem się zaś do tej uroczystej chwili uczciwie, jak przystało na zrównoważonego obywatela. Dałem więc mój przedwojenny frak do wyprasowania (pamięta w samej rzeczy dawne, przedwojenne czasy... W nim prosiłem o rękę mej Weroniki, w nim z nią stanąłem na ślubnym kobiercu, w nim obchodziłem srebrne gody małżeńskie, nic też dziwnego, że gdym go chciał we wojennym czasie zamienić na gotówkę, handeles pokiwał tylko głową i rzekł: „Panie łaskawy!... To jest prawdziwy antyk... Szkoda się pozbywać takiej familijnej pamiątki...“), odświeżyłem lakiery, pochodzące jeszcze z warsztatu firmy Bańkowskiego, Hibińskiego czy Gałka, więc znanej w całym kraju i przygotowałem szapoklak, nieodstępnego mego towarzysza w czasie mych uroczystych występów. Nie otwiera się już wprawdzie, gdyż raz siadła na nim przez omyłkę jakaś korpulentna niewiasta, może nawet i moja najukochańsza Weronika (urzędowo stwierdzono ponad sto kilogramów żywej wagi...) Ona, dzięki Bogu, wyszła bez szwanku, on uległ połamaniu sprężyn, pełni jednak wiernie swą służbę, używany do zasłaniania ust w czasie ziewania na nudnem zgromadzeniu, odpędzania natrętnych much z przed nosa, lub wznoszeniu w górę, gdy się na czyjąś cześć wiwatuje...

Choć stanowi on część bardzo arystokratycznego ubrania, jest to przecież rewolucyonista w każdym calu, w każdej sprężynie!

Sam byłem raz świadkiem zdarzenia, które mogło mieć bardzo smutne następstwa. Pewna bardzo słabej konstytucyi, więc eteryczna niewiasta siadła na nim nieopatrznie, a ta zniewaga tak go widocznie ubodła, iż wprawił w ruch swe sprężynowe stawy, wierzch podskoczył gwałtownie w górę, z nim zaś owa jejmość. Wzniosła się w górę, poczem spadła na posadzkę łamiąc sobie rękę i tłukąc inne części ciała.

W wypadku z Weroniką już mu się to nie udało!... To energiczna niewiasta, umiejąca w zarodku zdusić wszelkie rewolucyjne zakusy i dlatego ją a nie kogo innego zrobiłbym prezydentem gabinetu, o ile nowy wkrótce znów powstanie.

Takie myśli budzi we mnie mój poczciwy szapoklak, ilekroć ciągnę go ze szafy. A zdarza się to stosunkowo rzadko, świat się bowiem demokratyzuje, a frak wraz z swemi attynencyami przechodzi powoli do tradycyi.

Ja jednak szanuję tradycyę i dlatego staję dziś przed Wami w tym właśnie uroczystym stroju, mając pod jedną pachą ów historyczny szapoklak, a pod drugą... Weronikę.

Ale jak życzyć, skoro się poprzednie życzenia nie spełniły?... Zresztą mają to być równocześnie i życzenia noworoczne!

Nie życzę więc wprost, ale przez opisanie, tak sobie, jak i P. T. Przyjaciołom *Nowości illustrowanych* a do nich zaliczam w pierwszym rzędzie prenumeratorów, nie pomijając naturalnie i tych, którzy je czytują „za darmochę“, ale w każdym razie dają przez to dowody, iż z niemi sympatyzują, byśmy już następne święta Bożego Narodzenia mogli spędzić inaczej, to jest tak, jak sobie wyobrażałem, że spędzimy obecne!

A obecne, to przeciaż pierwsze święta w nibyto niezależnej i samodzielnej Polsce, po stu kilkudziesięciu latach niewoli... Mówię „nibyto“ i raz to jeszcze z naciskiem powtarzam, bo my przecież właściwie nie mamy jeszcze swojego kraju, to jest mamy go, ale bez granic i bez rządu, gdy tymczasem Niemiec nie chce oddać co akradł, Rusin po bratersku skubie z prawej strony, a Czech z lewej... A nie lepsi i swoi!... Nawet biednemu Orłowi białemu zdarto z głowy koronę, gdyż ona drażniła nieprzyjemnie niektóre postępowe żywioły, które koronę uznają o tyle tylko, o ile ona ma obiegową wartość i można za nią co kupić...

Niechże jednak rok bieżący będzie już uważany tylko za przejściowy, a przyszły przyjmijmy jako pierwszy naszej samodzielności i zjednoczenia.

Niechaj więc następne święta spędzi każdy według porządku dziennego, jaki sobie na na rok bieżący ułożyłem. Będzie to dowód oczywisty, że stosunki się zupełnie poprawiły, że więc wojna już skończona.

Ułożyłem to zaś, w porozumieniu z mą władzą domową, w następujący sposób:

Wtorek. Wieczór wigilijny z następującym programem: Łamanie się opłatkiem, sporządzonym z mąki bezkartkowej, nabytej po cenie przedwojennej i wyrażenie życzeń, płynących w samej rzeczy z serca, a nie takich, co to ślina na język naniesie... Potem wódeczka (najlepiej starka dla pań coś słodkiego ..) i zajęcie miejsc przy stole wigilijnym. Jadłospis tak się przedstawia: Barszcz z uszkami, zupa z ryby lub grzybowa (zależy od tego, co kto woli, bo wszystko już można łatwo nabyć ..), szczupak lub sandacz z jajami, karp smażony z sałatą zimową (dla pań kompocik...), lin smażony z kapustą, kluski z makiem, kutja, owoce. Ryba ma to do siebie, iż za życia lubi pływać we wodzie, na talerzu w maśle, a w żołądku zaś tylko we winie, wobec tego dekoracyę stołu stanowić powinna baterya buteljansów z winem, najlepiej węgierskiem, ale takiem, co to naprawdę Węgry widziało. Strucla zwykła, z makiem i przekładaniec musi być, inne pieczywo domowego wyrobu także nie wykluczone.

Co do choinki, to, choć to zwyczaj niemiecki, ale dość niewinny i już u nas zaaklimatyzowany, wobec czego można się o nią postarać, zwłaszcza, że czyni się w ten sposób frajdę młodemu pokoleniu. Pod nią podarunki dla całej rodziny (dla męża zwykle pantofle...).

Po wieczerzy wigilijnej młodzież śpiewa kolendy, niewiasty zabawiają się rozmową (można powtórzyć lanie z przedednia św. Andrzeja...), panowie mogą siąść do taroka lub preferansa. Ferbel lub inny hazard wykluczone, gdyby się bowiem dostało we wigilię takie suche lanie, będzie to zły omen na cały rok.

O północy kto łaskaw, na pasterkę, potem do łóżeczka.

Sroda. Wymarsz całej rodziny do kościoła, powrót w komplecie, gdyż knajpy wszystkie pozamykane, więc niema gdzie „wdepnąć.“

W domu, na drugie śniadanie, po wódeczce, odgrzewany lin z kapustą z dnia wczorajszego (coś wyśmienitego .. palce lizać!..) podlany ze względu na zdrowie, obficie winem węgierskiem, w którem najlepiej się czuje. Zresztą „ryby, grzyby i wędlina — potrzebują wina“, jak powiedział filozof, ale który, tego już nie pamiętam.

Obiadek i kolacyjka w domu, lub u najbliższych krewnych.

Czwartek. (Uroczystość św. Szczepana pierwszego męczennika, patrona wszystkich żonatych). Pod pretekstem wyjścia do kościoła, wdepnięcie do zwykłej swej knajpki, gdyż dziś już wszystkie otwarte. Tu posiedzenie do skatku, potem powrót do domu i mała wojna domowa z powodu spóźnienia. W dniu tym najlepiej odwiedzić znajomych lub przyjaciół, w ten sposób można się uchronić od przyjmowania u siebie gości, co jest połączone z wydatkami i ambarasem. Wieczorem, o ile się otrzyma bilety gratis, można rodzinę wyprawić do teatru, ma się bowiem wolny wieczór.

Piątek. (Swiętego Jana Ewangelisty — święcenie wina). Ponieważ już właściwie po świętach, trzeba się zabrać do zwykłych urzędowych czynności, np. pisania kroniki na następny tydzień. Pobożni dostają rano w kościele święcone wino gratis, kto rano nie ma czasu, może sobie to urządzić za pieniądze w południe. Lokale firm: Federowicz Frass, Gralewski, Hawełka, Kuczmierczyk, Wentzl itd cały dzień otwarte. Antisemici, to jest ci, którzy na żydów wymyślają, a gdy nikt tego nie widzi, wszystko u nich kupują, mogą to same uczynić np. u Süssera lub gdzieindziej. W dniu tym wino nikomu nie szkodzi, mogą je pić nawet czynni członkowie „Eleuteryi“.

Zresztą dzień, tak jak każdy inny powszedni. O ile pozostało coś ze świąt, należy to zjeść jak najrychlej, by się przypadkowo nie zepsuło.

Sobota. (Uroczystość Młodzianków). Ponieważ dzień ten jest przez naszych przodków uznany za feralny, czyli nieszczęśliwy, czego na samym sobie miałem dowody (zdaje mi się, że w tym dniu poznałem mą Weronisię..), najlepiej siedzieć w domu i nawet nosa za okno nie wystawiać, (W dniu tym lubią panować mrozy, dzień jest feralny, można więc bardzo łatwo nos sobie odmrozić..).

Następuje

Niedziela, ostatnia w tym miesiącu i roku. Byłaby więc sposobność do zalewania się przystojnego a godziwego, gdyby nie to, że choć czasy już lepsze, a stosunki się jakoś ułożyły, gotówki brak. Trzeba zaś pamiętać o Sylwestrze, by należycie stary rok pożegnać.

Ojcowie nasi żegnali stary rok w kościele i było im z tem dobrze, w każdym razie lepiej, niż nam, którzy nauczyliśmy się od Szwabów czynić to w knajpie, by potem nowy powitać nazajutrz z niesmakiem, nazywającym się pięknie po niemiecku *Katzenjammer*.

Dla wiadomości interesowanych dodam jeszcze, iż staropolskim zwyczajem można przy rybach zamiast wina używać miodu. Najwybitniejsze nasze powagi lekarskie (Szwaby się na tem nie znają!..) zgadzają się jednomyślnie, że w tym wypadku miód wino zupełnie zastąpi, a nawet ma nad nim tę wyższość, że nie jest fałszywy (to samo pokazali teraz i fabrykanci win.. Węgrzy), więc zdrowiu nie zaszkodzi, tak jak ten płyn, który się nieraz jako wino kupuje.

O miodzie wyraził się zresztą z uznaniem i taki znawca, jak ś. p. Zagłoba, który powiedział: „Wiedział Pan Bóg, dlaczego stworzył pszczoły...“ Kronikarz zaś doda do tego, że wiedział też o tem i praszczur nasz Noe, gdy je ze sobą zabierał do arki i w ten sposób uchronił od zniszczenia przez wody potopu.

Jest to zresztą trunek nasz, staropolski, który, według słów ś. p. Zagłoby, nawet uciekającą z ciała duszę zatrzymać jest w stanie, tworząc z nią likwor przedziwny, rozlewający się potem w żyłach, nic też dziwnego, że delektowali się nim dziadowie nasi.

Nie tak te dawne czasy, jak cała śmietanka krakowskiego mieszczaństwa ciągnęła na miodek do Robackiego na Sławkowską lub na Kazimierz „pod Krzyżyk“. Jedni szli, bo byli zdrowi i nie chcieli chorować, drudzy, bo byli chorzy, a mieli do zdrowia powrócić ochotę.

A miodek na to wszystko pomaga...

Jakże inaczej wyglądali też nasi przodkowie, a jak wyglądają dziś ich synowie lub wnuki, psujący sobie żołądek na jakichś tam szampanach lub innych fałszowanych trunkach, które tylko oszałamiają, ale nie dodają animuszu.

Skoro więc następna wigilia ma być polską, niech też i polski ten trunek znajdzie się na stole.

Jeśli tak spędzimy następne święta, jak wyżej zaznaczyłem, będzie to dowód oczywisty, że już zagojone te rany, które wojna zadała, na tem więc ograniczam swe wigilijne życzenia, resztę na Rok Nowy, który jest już za pasem, sobie zostawiając. Chętnie złożyłbym je każdemu z Czytelników, tem zaś bardziej i Czytelniczkom osobiście, niestety nie wystarczyłby mi na to i rok cały, choć w ten sposób mógłby człek dużo oszczędzić, gdyż chyba w każdym domu cośby łyknął i chlapnął, boć przecież żywie jeszcze między nami staropolska cnota gościnności, a zresztą sam Chrystus uczy, że należy: „łaknącego nakarmić, a pragnącego napoić“... A tu, zwłaszcza po wojnie, każdemu się chce i jeść i pić porządnie...

Powie kto może, że na wieczór wigilijny mogłem wybrać jakieś bardziej wyszukane potrawy, a ja mu na to odpowiem, że uczyniłem to z namysłem. Ten porządek dzienny (raczej wieczorny..) wigilijnej wieczerzy to nasz staropolski, gospodarski.

Ja wiem, że dziś ludziom imponują potrawy noszące szumne nazwiska francuskie, których się nie rozumie. Każdy też podczas uczty wpatrzony jest, jak sroka w kość, w jadłospis i bada na nim dziwolągi kuchennej francuszczyzny, mniej zaś zwraca uwagi na talerz i na to, co się na nim znajduje. To też możesz mu dać i zdechłego szczura, ale nazwij go po francusku, a będzie mu smakować.

Jak wygląda to pokolenie, wykarmione na tej francuskiej kuchni, widzimy to na swoje własne oczy.

Tockie piekło.

(Ponury obraz z niewoli rosyjskiej).

W połowie drogi z Samary do Orenburga, na prawym brzegu rzeki Sumowki leży obóz Tock (gubernia sumawska) który w 1915 roku zyskał sobie nazwę obozu śmierci. Dzieli się on na trzy grupy. Pierwsza, tak zwana 47 brygada, składa się z pięćdziesięciu mniej więcej drewnianych baraków, budowanych na modłę rosyjską, druga, główna grupa liczy również pięćdziesiąt baraków o tychsamych właściwościach i trzecia zwana 48 mą artyleryjską brygadą (komendantem tejże był znany generał Korniłoff) nie różniąca się niczem od grup poprzednich. Baraki te wystawione na gwałtowne wichry, leżą na piaszczystej pustyni, którą nazywają również „stepami kirgizkimi“. Brzegi Sumowki pełne bagien i moczarów są wylęgarnią miliardów komarów (anofelesów), które przenoszą zarazki zimnicy (malaryi) grasującej tutaj epidemicznie. W miesiącu lipcu 1915 roku liczył tocki obóz 25.000 jeńców wojennych przeważnie „austryackich“. Hygieniczne stosunki były wówczas wprost straszne! W całym obozie była tylko jedna studnia (!) i jedna „parówka“, oddalona cztery kilometry od obozu a przeznaczona tylko dla rekonwalescentów, którzy tę drogę pieszo odbyć musieli; wychodków odpowiednich nie było, a bród, gnój, miliardy pluskiew i wszy w każdym zakątku można było widzieć! Baraki posiadały pojedyncze, źle dopasowane drzwi, między okapem a ścianami były dziury i chociaż obóz ten był tylko na pobyt letni przeznaczony (dla rosyjskich żołnierzy) komisya z generałem Sandeckim na czele uznała go za możliwy do przezimowania. To rozstrzygnięcie równało się wyrokowi śmierci na biednych jeńców wojennych. Z powodu wielkiego nagromadzenia jeńców tylko w grupie środkowej doszło do tego, że zamiast umieszczać po trzysta w jednym baraku, „wpychano“ po sześciuset a nawet więcej. Nic też dziwnego, że wśród takich okoliczności musiały wybuchnąć choroby zakaźne. A zatem oprócz malaryi od lat grasującej w tych stronach, była czerwonka, ospa, tyfus powrotny i oczywista szalenie się rozszerzający tyfus plamisty.

Straż nad obozem tockim miała podówczas samowska drużyna (Nr. 691), w której skład wchodziły tak wybitne osobistości jak komendant podpułkownik Chudiakow, pijanica i złodziej kieszonkowy, praporszczyk Zoon, który odziedziczył po „nieruskich“ (jak widać z nazwiska) zdolność kopania w pysk, adjutant von Raabe (także ładny Moskal) i 1917 roku świeżo przybyły, o angielskim wyglądzie żydek podporucznik Riczer, aresztowany rok później za rozmaite nieporządki kasowe (a nawet zawikłany w aferę szpiegowską), lekarz drużyny Tuberozow, winowajca epidemii tyfusu plamistego w Tocku, ciągle śpiący i kompletnie głuchy lekarz brygady, powszechnie zwany „byczkiem“ no i naturalnie jeden z naszych najmilszych następca Tuberozowa, Szlojma Raszkowicz (Raszkower?) litwak; za urzędowania tego ostatniego epidemia tyfusu plamistego osiągnęła punkt kulminacyjny.

Tuberozow zamiast dbać o to, ażeby epidemię zgnieść w zarodku, otworzył kantynę, która dawała znakomite pole do wykorzystywania biednych jeńców wojennych. Jego żona, notowana prostytutka, metresa rosyjskiego felczera Kozłowa, zaawansowała do godności „panny sprzedającej“ i przy tej sposobności załatwiała swoje „tajne interesiki“.

Dla chorych jeńców wojennych przeznaczono z początku tak zwane baraki izolacyjne, które zupełnie nie różniły się od reszty innych. Były one położone na końcu grupy środkowej, oznaczone numerami 40, 41, 43, 44, 45 i 39. W nich pomieszczono wszystkich uznanych za chorych przy wizycie lekarskiej. Jakżeż wyglądały te baraki? Nietylko nie było tutaj łóżek, ale nawet sienników, ba nawet ani źdźbła słomy. Chorzy leżeli na gołych deskach ustawionych w trzy piętra. W miesiącu listopadzie, grudniu (1915 r.) styczniu i lutym 1916 roku były formalnie przepełnione. Biedni jeńcy w podartem obuwiu (wielu z nich nosiło łykowe chodaki!), w podartem ubraniu, bardzo często bez bielizny, musieli znosić straszliwe zimno, gdyż temperatura baraków nie wiele różniła się od ciepłoty na dworze. Przy tej sposobności trzeba zauważyć, że w gubernii sumawskiej termometer wskazuje w zimie od —37°—40° C., a baraki, przeznaczone tylko na pobyt letni nie posiadały pieców! Skutki tego były straszne! Setki odmrożonych, zgangrenizowanych członków, szczególnie nóg.

Oczywista nie było chirurga pod ręką a ówczesny lekarz rosyjski (pułkownik, a jakże!) Szlojma Raszkowicz, nie poczuwał się do obowiązku biednych ludzi wysłać do szpitala chirurgicznego w Orenburgu lub Samarze. Po „p wnym“ czasie przyjechał nareszcie chirurg Sidorow ale... bez instrumentów (!)



Fakta dokonane: Wejście wojsk francuskich do Strassburga. (Lip. b. pras.)



Nowe Czechy: Widok miasta czesko-niemieckiego Bodenbach nad Elbą (Lip. b. pras.)



Śmiała kradzież: Rozbite przez złodziei kasy w krajowym sądzie karnym w Krakowie.

a zanim mu je dostarczono, nie wielu z biedaków pozostało przy życiu, gdyż dziesiątki z nich a nawet setki umarło z powodu ogólnego zakażenia. — Przy iych tak zwanych barakach izolacyjnych nie było wychodków, gdyż „rosyjskie ustawy" zakazują urządzanie tego rodzaju budowli w pobliżu baraków. Dlatego też musieli biedni chorzy załatwiać swoje naturalne potrzeby tuż obok baraków. A ponieważ wówczas zaczęła się i epidemia czerwonki(!) więc dostęp do tych baraków nie był łatwym. Wchodzącemu do baraków przedstawiały się zawsze na wstępie okropne obrazy. Oto stos trupów sięgający od bitej ziemi po dach! Wielu z chorych dostało napadów szału i często rozgrywały się tutaj rozdzierające serce sceny. Widzi się naprzykład obłąkanego chorego, który swojego kolegę, będącego w ostatnich podrygach, ciągnie za nogi po całym baraku naokoło; albo.. siedzi obłąkany na ziemi przytyka do ust but zawalany kałem i krzyczy: „Dzisiaj moje urodziny!" autentyczne! Chorzy bez wyjątku byli pełni robactwa, leżeli na gołych narach zapluskwionych(!) i całkiem zawalanych kałem, bez koców(!), niektórzy nawet bez płaszczów. Wielu z nich nie mogło się podnieść, ażeby załatwić naturalne potrzeby; używali do tego zatem szalek, a ponieważ nie mogli wyjść choćby za drzwi, ażeby zawartość tychże wylać(!) wylewali często na bok lub za siebie; i zdarzały się wypadki, że obok leżący nieszczęśliwiec miał wskutek tego obryzganą twarz; a kiedy sanitaryusz przybywał z „jedzeniem" nalewał zimnego(!) rosołu(!) do tego samego nie oczyszczonego naczynia(!!!) (horribile visu et dictu!). Każdego nowoprzybywającego chorego obszukiwano gruntownie i obrabowywano literalnie ze wszystkiego, zegarki, łańcuszki, pieniądze, pierścionki itd. W tej łajdackiej „robocie" brali nie tylko udział rosyjscy sanitaryusze jak felczer Tatjanow, Własow i Ignatiew, ale nawet sanitaryusze jeńcy wojenni! Z pośród tych odznaczyli się szczególnie żyd węgierski (kapral!) Katz, honwed Klinger, „Szandor", a przedewszystkiem powszechnie znany morderca tockiego obozu, honwed (ulubieniec lekarza-kapitana Bognara), Szarlotta Ferencz, który własną ręką za mordował kilkunastu chorych. Tysiące bochenków chleba, tysiące garniturów bielizny, wszystko przeznaczone dla chorych, całą własność prywatną tych biedaków (sensu strictissimo) sprzedała ta banda zbrodniarzy, w której brakło również bandytów krzyżackich: Bayer, Brosch i Schönbaum! (O! Vaterland magst ruhig sein!), do której należał także lekarz rosyjski Filipow.

Najwyższy stopień śmiertelności przypada na miesiąc grudzień 1915 roku, styczeń i połowę lutego 1916 roku. W przeciągu 24 godzin wywożono furami po 165 trupów(!!!) Ilość zwłok w trupiarni tak się nagromadziła, że wprost nie mogli nadążyć wszystkich pogrzebać! Góra ludzkich kadawerów wznosiła się tamże, których dolne warstwy, leżące miesiącami, z powodu rozkładu, utworzyły gnijącą masę, a smród trupi rozszerzał się na okolicę! W połowie lutego 1916 r. wygasła epidemia tyfusu plamistego. Rzecz naturalna, że nie było to zasługą ówczesnego „starszego wrucza" Raszkowicza, lecz czas ten „beltisto patros" zrobił swoje. Lekarz Tuberozow otrzymał za... rozwleczenie epidemii order świętego Stanisława, ówczesny komendant drużyny Chudiaków, który ukradł przeszło 50 000 rubli, przeznaczonych na zakupno rekwizytów szpitalnych i polepszenie wiktu dla chorych, otrzymał świetną posadę naczelnika wojskowego w Orenburgu. Najprawdopodobniej i następca Tuberozowa, Raszkowicz, znany z pełnych kalumnii raportów na lekarzy jeńców otrzymał... order! Koniec końców epidemia wygasła. Były wprawdzie pojedyncze wypadki tyfusu plamistego, które Raszkowicz umiał sprytnie przed władzami zataić!

Łupem epidemii było dziewięć tysięcy jeńców wojennych, między nimi 3 lekarzy: lekarz kapitan Bram, wiedeńczyk, lekarz podporucznik Sak, Chorwat, lekarz podporucznik dr. Wacław Zakrzewski, Polak ze Lwowa, który zaraziwszy się tyfusem plamistym i eskortowany z Tocka do Samary, został w drodze zamordowanym! Trzech medyków Marhan (Czech), Tschigerl (Niemiec) i Zbigniew Rudnicki (Polak ze Lwowa).

Ale... ponoszący winę zbrodniarze zostali udekorowani orderami. — W miesiącu kwietniu 1916 roku przyjechał do Tocka generał Władysław Romiszewski, który rzeczywiście starał się, ażeby obóz tocki uczynić możliwym do przezimowania. Wtedy to dopiero dokonano gruntownych przeróbek!

Baraki izolacyjne, jako straszne „memento" rosyjskich stosunków spalono! Przy tej sposobności zauważono w popiele tlejące kości ludzkie, które jak znawcy orzekli, należały przynajmniej do dziesięciu szkieletów ludzkich. Czy były to ofiary mordercy tockiego obozu Szarlotty Ferencza nie jest wykluczone!

Właściciel i wydawca: Syndykat... M. Lisiecki. Odpow. redaktor: [illegible]. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Maciejskiego.